

PATCHWORK

Jacek Paprocki

PATCHWORK

Stuk, stuk, stuk. Lubię ten stukot mojej starej maszyny do szycia marki Singer. Odziedziczyłam ją po Mamie. Mamę kochałam, chociaż były dni, kiedy jej nie znosiłam. Nasze mieszkanie na Bałutach było małe i brudne, ale zawsze było w nim pełno Wujków. Tak mi ich przedstawiała mama. Nie zostawali dłużej niż kilka dni. Najczęściej wychodzili jak skończyła się wódka i już nie wracali. Jak byłam mała musiałam sama bawić się pod stołem, bo mama zasłaniała zasłonę, która oddzielała łóżko od

reszty pokoju i znikła tam z Wujkiem. Z początku nie wiedziałam, co tam robią, ale dźwięki, które tam wydawali przeszkadzały mi w zabawie. Ale pewnego razu jeden wujek, który został u nas dłużej, pod nieobecność mamy zaciągnął mnie za zasłonę i zaczął nade mną sapać jednocześnie gmerając ręką w kieszeni swoich spodni. Przestraszyłam się, bo nagle poczerwieniał na twarzy, żyły na szyi mu nabrzmiały a z ust wydobyło się głębokie westchnienie. Miałam wtedy kilka lat i dostałam później od tego

wujka pieniądze na cukierki.

Ten kawałek materiału jest idealny. To chyba kawałek jakiegoś płaszcza czy kurtki. Szkoda, że nie ma ze mną mojego Igora. Muszę sama męczyć się ze zdobywaniem skrawków. On zawsze to robił. Był w tym doskonały. Miał talent do znajdowania odpowiednich. Bo w szyciu patchworków najważniejsze jest dopasowanie. Skrawki muszą do siebie pasować kolorem, fakturą, grubością. Jeden źle wybrany skrawek może zniweczyć całe tygodnie pracy. Igor zawsze wiedział, co mi jest potrzebne.

Poznaliśmy się już jako dorośli.

Ja pracowałam w fabryce odzieży, on przyszedł tam naprawiać maszyny. I tak się poznaliśmy. Dobry był, kwiaty mi przynosił. Miałam już pięćdziesiąt sześć lat. Nigdy nie miałam męża. Nie lubiłam mężczyzn. Mama też nigdy nie wyszła za mąż.

No i mam problem. Kolejny skrawek nie daje się dopasować. Muszę poszukać innego, ale to burzy mi już zaplanowaną precyzyjnie strukturę. Nie lubię tego. Zaraz się wściekam. Igor o tym wiedział i skrawki przez niego dostarczane były zawsze idealne.

W wieku dwunastu lat jeden z

wujków nie tylko zaczął nade mną posapywać, ale też rozebrał mnie i pokazał tę swoją zabawkę, co ją trzymał schowaną w spodniach. Mówił, że to takie zwierzątko, które, jak się dobrze traktuje to spokojnie sobie rośnie, ale jak już urośnie to musi się schować do norki. Norkę miała mama. I ja też miałam, ale jeszcze ciasną, bo bardzo mnie bolało, jak to jego zwierzątko chowało się do niej. Nawet trochę krwawiłam, ale on powiedział, że to jest normalne i że następnym razem będzie lepiej i przyjemniej. Nie było.

 Nie sztuką jest uszyć patchwork

z materiałów kupowanych w sklepie. Sztuką jest dobranie formy do tego, co znajdzie się albo zdobędzie. Wtedy szycie jest jakby dawaniem nowego życia. Składałam te patchworkowe istnienia z małych fragmentów innych istnień.

To Igor wymyślił, że będziemy szyc patchworki. Jak mój zakład upadł w dziewięćdziesiątym pierwszym roku, to rozpaczałam, jakbym straciła matkę. Mama umarła jak miałam dziewiętnaście lat. Umarła na wódkę. Po prostu pewnego dnia nie wstała z łóżka. Spałam wtedy w kuchni na

składanym łóżku. Byłam już duża i Mama nie chciała, żeby Wujkowie mnie za często widzieli. Bo Wujkowie od pewnego czasu woleli się bawić ze mną. Do szkoły nie chodziłam. Nie lubiłam jej, bo nie rozumiałam, co do mnie mówili nauczyciele i nienawidziłam dzieci, które mnie cały czas przezywały.

No, ten kawałek jest doskonały. I kształt, i kolor i faktura pasują do pozostałej części patchworku. Igor miał dobre wyczucie. Nie musiałam wiele dopasowywać. Wszystkie kawałki, które przynosił były doskonałe. Ależ tu jest gorąco. A oni jak zwykle nie chcą mi dać nic

do picia.

Jak Mama umarła poszłam do pracy. Do tego zakładu odzieżowego, co to w nim pracowałam aż go zamknęli. Tam miałam koleżanki siedzące przy maszynach i paplające o wszystkim, o czym się dawało paplać. A dawało się o wszystkim. Ja nie lubię dużo mówić, więc w zasadzie tylko słuchałam, ale właśnie za to one mnie lubiły. Potrzeba im było kogoś takiego, kto nie będzie ich zagadywać tylko wysłucha, co mają do powiedzenia. A ja w mówieniu nie byłam dobra, ale za to w słuchaniu świetna.

Mieszkałam nadal w mieszkaniu Mamy. Jeszcze przez kilka lat przychodzili tam różni Wujkowie, żeby zamieszkać przez parę dni u Mamy. Nie wpuszczałam ich do środka, bo wiedziałam, że gdy dowiedzą się, że Mama nie żyje, to będą chcieli chować te swoje zwierzątka w mojej norce. A ja tego nie lubiłam. Nie lubiłam ich zwierzątek i swojej norki. Jak raz w miesiącu zaczynała krwawić, to najchętniej nie wychodziłabym wtedy na dwór. Ale musiałam pracować. W Łodzi wszystkie kobiety coś szyły. W jakimś zakładzie. Więc i ja szyłam.

Bolą mnie plecy. Muszę się rozprostować. Wiem, że mogę zadzwonić po pielęgniarkę. Pewnie przyniosłaby mi coś do picia. Ale na razie nie chcę. Wiem, że ona nie lubi, jak szyję. Mogłaby mi zabrać maszynę. A bez maszyny ja bym umarła. Stuk, stuk. Lubię czuć tą energię, która wyzwolona przez moje stopy przechodzi poprzez rzemień na kole pasowym na ten posuwisty ruch igły, za którą pilnie podąża nitka.

Pierwszym mężczyzną, którego wpuściłam do domu po śmierci mamy był właśnie Igor. Przyniósł kwiaty i nie przyniósł wódki.

Zrobiłam mu herbaty i przesiedzieliśmy wieczór milcząc i oglądając telewizję. Jeszcze ze trzy razy robiłam herbatę. Ale było miło.

Zaczął przychodzić codziennie po pracy. Mówił więcej ode mnie i opowiedział mi historię swojego życia. Też nie miał rodziców. Zmarli już dawno temu. W dzieciństwie ojciec uderzył go młotkiem w głowę za to, że płakał. Wylądował na pół roku w szpitalu, ale rany się zagoiły. Tylko czasami czuł się tak, jakby tracił równowagę. Widział wszystko jak przez mgłę. Powiedział mi, że tylko

przy mnie tak nie ma.

Siedzieliśmy wieczorami i oglądaliśmy telewizję. I piliśmy herbatę. Dużo herbaty. Czasami trzymaliśmy się za ręce. Lubiłam to. Lubiłam też to, że nie starał się pokazywać mi swojego zwierzątka, tak jak robili to wszyscy Wujkowie.

Po roku poprosił mnie o rękę. Rozpłakałam się i zgodziłam. Na ślub w kościele przyszły moje koleżanki z pracy. On nie miał ani kolegów ani koleżanek. Rodziny też nie miał. Małe przyjęcie zrobiliśmy w stołówce zakładowej. Wszyscy dobrze się bawili, bo kupiłam wino. Wódki nie lubiłam. Wina, co

prawda, nigdy nie piłam, ale usłyszałam gdzieś, że to jest elegancki trunek dla kobiet. A u nas na weselu były same kobiety. Oprócz Igora. I chciałam, żeby to było eleganckie wesele.

Jak skończę szyć ten patchwork, to poproszę panią doktor Ewę, żeby kupiła mi smar do maszyn do szycia. Ja nigdy wcześniej nie umiałam niczego nasmarować. To Igor mnie nauczył, jak dbać o sprzęt, bo on zręczny w rękach był. Powiedział, że muszę być przygotowana na to, że kiedyś go zabraknie i że wtedy muszę umieć wszystko zrobić sama.

Zamieszkaliliśmy razem. Igor pracował w garbarni. Pracę miał ciężką. Pilnował, żeby wszystkie urządzenia, w których się coś kręciło, działały. Miał smykałkę do tego. Zawsze udawało mu się naprawić, jak coś się nie kręciło. W domu też wszystko reperował. Ponaprawiał zepsute zawiasy w meblach, pomalował ściany. Rozebrał kiedyś tą starą maszynę Singera, która została po Mamie i ją nareperował. Ja w domu nie chciałam szyć, bo miałam dosyć szycia w pracy, więc maszyna stała w pokoju udając mebel.

Wieczory spędzaliśmy razem,

oglądając telewizję. I pijąc herbatę. Igor bardzo lubił herbatę. Mówił, że picie herbaty łagodzi obyczaje. Nie wiem dokładnie, co miał na myśli, ale ja też lubiłam herbatę i lubiłam ją robić jemu.

Kolejny kawałek. Nie, ten się nie nadaje. Mało mam do wyboru. Nie lubię używać nożyczek, nigdy nie lubiłam. Cała sztuka to tak dobrać skrawki, aby bez używania nożyczek dało się je połączyć ze sobą. Igor mnie tego nauczył. Zawsze mi powtarzał, że po to wyszukuje i przynosi do domu już tylko najlepsze kawałki, żebym nie musiała używać nożyczek.

Najlepsze patchworki wisiały u nas w domu na ścianach. Lubiliśmy na nie patrzeć wieczorami, jak już skończyło się „Na Wspólnej”. W świetle lampki wydawało się, że żyją na tych ścianach. Ulubiony patchwork Igora leżał na jego ulubionym fotelu. Twierdził, że pomaga mu na reumatyzm i czasami okrywał sobie nim nogi, jak było zimno w mieszkaniu. Ja nie lubiłam się przykrywać niczym. Zresztą mi było zawsze gorąco.

Muszę wstać i rozprostować kości. Podchodzę do drzwi. Wiem, że mnie nie wypuszczą na zewnątrz bez opieki. A jeszcze nie czas

spaceru. Dzisiaj skończę tego patchworka. Dam go w prezencie pani doktor Ewie. Znamy się z panią doktor już bardzo długo. To ona mnie tutaj umieściła, gdy zobaczyła, że nie ma się już mną kto opiekować. I opiekuje się mną. Jestem jej za to wdzięczna. I za tą maszynę do szycia. Że mogę ją tu mieć.

Jak mnie zwolnili z pracy, to Igor od razu powiedział, że powinnam zająć się szyciem patchworków. I że ma dla mnie dużą ilość skrawków, które od pewnego czasu zbierał. Mądry był ten mój Igor. Przewidział, że mój

zakład może splajtować. Ja się tego nie spodziewałam. I byłam na to kompletnie nieprzygotowana. Nawet płakałam. Wtedy on wziął mnie w ramiona i powiedział, żebym się nie martwiła. I żebym zajęła się szyciem, to pozwoli mi nie myśleć o moim zakładzie i moich koleżankach z pracy. I rzeczywiście. Wyciągnęliśmy z kąta maszynę. Tę, którą naprawił Igor, a on dał mi jeszcze całe pudło skrawków. Były różne. Z materiału gładkiego i delikatnego jak skóra dziecka, grube i kosmate, z nadrukami i gładkie. Różne kolory. Powiedział, że zebrał je dawno

temu, jak jeszcze mnie nie znał.

Muszę przerwać, bo pielęgniarka przyniosła mi obiad. Marnie tu gotują. Ja byłam lepszą kucharką. Codziennie gotowałam Igorowi. A to rosół z kluseczkami kładzionymi, a to grochówkę, a to ogórkową z dużą ilością śmietany, bo taką najbardziej lubił Igor. A na drugie raz schabowy, a raz mielony. Igor lubił je najbardziej. No i jeszcze lubił gołąbki, ale tych nie robiłam często, bo to dużo roboty, a ja miałam już dużo roboty przy szyciu.

Na szczęście Igor pracował, więc mieliśmy za co żyć. Igor

zarabiał dobrze, bo zawsze umiał zrobić, żeby kręciło się coś, co nie chciało się akurat kręcić, a powinno. Garbarnia nie splajtowała, więc ja nie musiałam już pracować, tylko mogłam szyć. To było jedyne, co umiałam naprawdę dobrze, oprócz oczywiście gotowania obiadów dla Igora. Pudło ze skrawkami skończyło się dosyć szybko, więc Igor zaczął przynosić mi do domu nowe. Wieczorami dyskutowaliśmy zawsze o tym, co właśnie szyłam. Igor zawsze starał się słuchać mnie, co do wyboru wzorów i ułożenia skrawków. Czasem tylko delikatnie

nakłaniał mnie, żebym użyła czegoś innego, niż zaplanowałam, bo zauważył gdzieś kawałek, który jemu się bardzo spodobał. Zawsze mu ustępowałam, bo uważam, że w dobrym małżeństwie zawsze trzeba szukać zgody. Poza tym lubiłam mu sprawiać przyjemność.

Jedzenie tu nie jest za dobre, ale zawsze zjadam wszystko do końca i jeszcze wycieram talerz chlebem. To pozostało mi po Mamie. Czasami jedyne, co jadłam to był chleb maczany w cienkim sosie. Gdy byłam z Igorem, nigdy nie musiałam się martwić, że zabraknie jedzenia, ale

przyzwyczajenie pozostało. Odstawiam talerze. Zaraz przyjdą pielęgniarki i je zabiorą. Daję odpocząć maszynie i siadam na łóżku. Nakryłam je zrobionym przeze mnie patchworkiem, żeby było ładniej. Ten, który teraz szyję będzie dla pani doktor Ewy. Ona dużo ze mną rozmawia. To znaczy ona mówi, a ja raczej milczę, bo ja rozmowna nigdy nie byłam. Ale ona to akceptuje. Pielęgniarki też ze mną rozmawiają.

Kiedyś Igor poprosił mnie, żebym poszła z nim na poszukiwanie skrawków. Szyłam wtedy duży patchwork. Miał wisieć

na ścianie nad naszym łóżkiem. Miałam kłopoty z dobraniem skrawków, bo do takiego dużego patchworku potrzeba było specjalnych kawałków. Nigdy nie pytałam Igora, gdzie on zdobywa te skrawki, więc chętnie się zgodziłam. Lubiłam mu towarzyszyć we wszystkim, co robił. Miał takie zręczne ręce. Na początku byłam trochę zdziwiona, bo wyobrażałam sobie, że szukanie skrawków jest trochę łatwiejsze. Ale jak powiedział Igor, z łatwej pracy nie ma kołaczy. Zapytałam, co to kołacze, a on mi powiedział, że to takie najlepsze jedzenie, które

można sobie wymyślić. Od tej pory zawsze razem wybieraliśmy się na poszukiwanie skrawków. Ja doradzałam Igorowi, bo to ja szylałam i ja wiedziałam, co mi jest potrzebne. Uszyłam ten duży patchwork na ścianę. Z dumą oboje patrzyliśmy na niego przed zgaszeniem lampki. Na środku pysznił się wydrukowany na jednym skrawku napis :„Let love rule”. Igor zapytał się chłopaków u siebie w zakładzie i oni mu powiedzieli, że to znaczy „niech rządzi miłość” czy coś takiego. Spodobało nam się to, bo naszym życiem rządziła miłość.

Zaraz przyjdzie pani doktor

porozmawiać ze mną. Ostatnio często przyprawdza ze sobą jeszcze jakieś osoby, które zadają mi dziwne pytania. Muszę skończyć ten patchwork dla niej. Maszyna znowu robi stuk, stuk. Lubię ten rytm. Lubię jak moje nogi dają siłę igle, która sprawia, że to, co jest nic nie wartym skrawkiem staje się piękną całością.

Byłam szczęśliwa. Kochałam i byłam kochana. Ale pewnego dnia, gdy jak co dzień szyłam kolejny patchwork, Igor siedział przed telewizorem. Oglądał chyba jakiś mecz. Przerwałam szycie i zapytałam go, czy chce herbaty. Nie

odpowiedział, co było dziwne, bo on zawsze odpowiadał jak się go o coś pytałam. Podeszłam do niego i zobaczyłam, że jest martwy. Siedział na fotelu, oczy miał wytrzeszczone, ale ja wiedziałam, że nie żyje. Nawet nie musiałam sprawdzać, czy oddycha. Widać tak musiało być. Ja przyrzekłam mu kiedyś, że go nie opuszczę, więc zrobiłam mu herbaty, ale nie wypił. Stała do następnego ranka, gdzie znowu zrobiłam mu nową. Musiałam skończyć ostatni patchwork, więc całymi dniami wybierałam skrawki i szyłam, aż palce miałam pokłute. Musiałam

skończyć, bo to był ostatni nasz wspólny patchwork. Skrawki zbieraliśmy na niego już prawie od roku. Igor siedział i czekał. Robiłam mu herbatę, ale nie chciał pić. Zrobiłam nawet gołąbki, ale też nie zjadł. Widocznie po śmierci ludzie nie są głodni.

O, widzę przez szybkę, że idzie pani Ewa. Jest z kimś jeszcze. To kobieta. Chyba jej nie znam. Nie skończyłam patchworku dla pani doktor. Nie szkodzi. Mam czas. Cieszę się, że znowu będę mogła z kimś porozmawiać. Niewiele mi już lat życia zostało, więc nauczyłam się cenić takie

przyjemności. Lubię słuchać. Oni mówią, a ja wspominam wtedy Igora i te dwadzieścia lat, które przeżyliśmy razem. Chyba byliśmy dobrym małżeństwem.

Doktor Ewa Walicka, lekarz Wojewódzkiego Szpitala Psychiatrycznego w Łodzi podeszła do okienka i zajrzała do środka. Stukot starej maszyny do szycia marki Singer odbijał się od ścian pomieszczenia i po wielu odbiciach nieśmiało wydostawał się za zamknięte drzwi. Przy maszynie siedziała drobna, siwa staruszka. Jej powykręcane palce pewnie

prowadziły pewnie materiał. Z maszyny zwisał częściowo już pozszywany różnokolorowy patchwork. Oczy staruszki wpatrzone były w szybko śmigającą igłę.

- Proszę, pani redaktor. To jest właśnie Antonina Bielska z domu Kral. Mówimy na nią tutaj pani Tosia.

Towarzyszająca jej młoda kobieta zajrzała przez szybkę do środka pomieszczenia. Wyraz zdumienia pojawił się w jej oczach.

- Chce mi pani doktor powiedzieć, że to ona wraz z mężem odpowiedzialna jest za

największy horror ostatnich lat?

Był środek lata i upał wciskał się wszystkimi możliwymi szparami do wnętrza starego budynku. Doktor Ewa miała na sobie tylko białą bawełniana podkoszulkę z szerokim dekoltem i białe krótkie spodenki. Na nogach miała białe drewniaki.

- Niech pani nie sądzi po pozorach. To właśnie ona. Wraz z mężem, Igorem Bielskim, w latach 1991 – 2012 odpowiedzialni byli za całą serię tajemniczych zniknięć młodych kobiet. Wyszukiwali je spacerując po Łodzi, po czym mordowali, używając do tego celu narzędzi garbarskich Igora.

Wykrawali potem z nich kawałki skóry, które potem ona zszywała w patchworki. Ofiary dobierali właśnie pod kątem koloru skóry, znamion, tatuaży, koloru włosów. Przez ponad dwadzieścia lat Policja w Łodzi nie była w stanie natrafić na ślad zaginionych ofiar. Wpadli przez przypadek. Igor zmarł na wylew we własnym mieszkaniu, a pani Tosia nie zgłosiła tego nigdzie, tylko kończyła ostatnie swoje dzieło zszywane ze skrawków skór zabitych dziewcząt. Było lato i sąsiadów zaalarmował dobiegający z mieszkania smród. Zawiadomili Policję, bo byli

przekonani, że temu miłemu, starszemu małżeństwu coś się stało. Gdy policja wyłamała drzwi zastała w środku gnijącego już trupa Igora, nad którym unosiły się roje much i panią Tosię, kończącą szycie. Na ścianach wisiały pozszywane z kawałków skór ofiar patchworki różnej wielkości. Jednym z nich były okryte nogi Igora. Obok niego stał talerz z gołąbkami i szklanka gorącej jeszcze herbaty.

Doktor Ewa relacjonowała to beznamiętnym tonem nie zwracając uwagi na dziennikarkę, która robiła się coraz bardziej zielona na

twarzy.

- Śledczy ustalili, że ofiary Igor zabierał do garbarni, w której pracował. Wycinał tam z nich odpowiednio wybrane skrawki skóry, gładkie lub z włosami i garbował. Ciała rozpuszczał w kwasie, albo zakopywał na terenie garbarni. – Dziennikarka głośno przełknęła ślinę. Pani doktor kontynuowała. – Doliczono się trzydziestu trzech ofiar. Ustalono to po badaniach DNA fragmentów skór z patchworków. W całej dwudziestoletniej działalności tylko dwóm ofiarom udało się ujść z życiem, ale nie pamiętały nic, co

pomogłoby w ujęciu sprawców. Z obu Igor zdążył wyciąć kawałki skóry. Ale przeżyły. Dlaczego? Nie wiadomo. Badania wykazały, że dwadzieścia dziewięć ofiar zginęło w latach 1991 – 2012 a pięć pochodziło jeszcze z lat sześćdziesiątych. Były to, jak nazwali to śledczy, kawalerskie ofiary Igora. Do dzisiaj Policja stara się ustalić tożsamości niektórych ofiar.

Zaśmiała się sucho i włożyła klucz do drzwi. Przy tym ruchu koszulka odsłoniła jej lewe ramię, na którym była widoczna duża prostokątna blizna po wyciętym

kawałku skóry.

KONIEC

Warszawa, maj 2013